

POCZTÓWKA Z TRÓJMIASTA

Sam nie wiem, czy tego oczekiwałem. Wiedziałem, że dostanę zaproszenie na ślub, ale o wieczorne kawalerskim raczej nie myślałem. Najmniej ze wszystkich pasowałem do tego towarzystwa – niespełna czterdziestoletni żonaty nudziarz z dwójką dzieci nie jest towarem szczególnie poszukiwanym na tego typu imprezy. Dużo młodszy kuzyn zapewne myślał inaczej, więc pewnego pięknego lipcowego dnia skontaktował się ze mną jego przyszły świadek.

– Składka dwie stowy. Wynajmujemy busa, jedziemy do Olsztyna na gokarty, a potem do Gdańska, gdzie walimy wódę w domkach kempingowych przy plaży – rzekł wesoło dwudziestopięcioletni szczupły, krótko ostrzyżony blondyn o ksywie Dzik.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha na myśl o dawno już zapomnianej beztroskiej zabawie. Uradowany, że na chwilę odetchnę od tego codziennego kieratu, wysupłałem ciężko zarobione na budowie pieniądze i z nadzieją oczekiwałem tego dnia.

Żona oczywiście nie podzielała mojego entuzjazmu, ale trudno było jej się dziwić. Nie chodziło nawet o to, że zostawiałem ją na dwa dni samą z dziećmi i domowymi obowiązkami. Spuszczanie psa ze smyczy nie było dla kobiety dobrym pomysłem. Oczyma wyobraźni widziała te tabuny pijanych cyncastych lasek, które obłapiam bezczelnie jak za starych czasów. Po ciężkich bojach, wykorzystując mój urok osobisty i dar przekonywania, zdołałem ją udobruchać. Co prawda w zamian za odkurzanie i zmywanie naczyń przez miesiąc, ale uznałem, że to przyzwoita cena za przygodę.

Trzynastego lipca na stacji autobusowej w Ciechanowie zebrała się grupa dziesięciu żądnych wrażeń młodych ludzi. W tym ja. Stary cap na doczepkę, jedyny żonaty w tym towarzystwie. Był co prawda jeszcze Piotrek, mój cioteczny brat i rówieśnik, z którym zawsze trzymałem się razem od najmłodszych lat. Człowiek, który w młodym wieku utracił wszystkie włosy na głowie, a w zamian zapuścił gęstą brodę. Jednakże stary kawaler.

Jego młodszy brat Andrzej z powodu śniadej karnacji nazywany był Czarnuchem. Wysoki, przypakowany, był ulubieńcem kobiet. Do tego stopnia, że kiedyś rozważał nawet

możliwość zrobienia kariery jako żigolak. Mieszkał on obecnie ze starszą od siebie partnerką. Trzymał się z przysłym panem młodym, którego z powodu nazwiska Glutkowski wszyscy nazywali Glutkiem. Jego przyszła żona była dla odmiany sporo młodsza. Nieoczekiwane wesele zaskoczyło każdego, gdyż Glutek nigdy nie był specjalnie skory do usidlenia.

Reszta ekipy to kumple nowożeńca. Maskotką grupy był Sławcio, czyli Prosiak. Typ zupełnie niereformowalny. Niezbyt urodziwy, gruby i łysy, mało rozgarnięty. Nikt nie traktował go zupełnie serio, ale jego obecność zawsze była gwarancją, że coś pójdzie nie tak. Pił na umór, kłął jak szewc i ogólnie był to cham i prostak, choć nieszkodliwy. Braki w rozsądnym rozumowaniu sprawiały, że nieustannie pakował się w jakieś kłopoty lub narobił komuś wstydu. Człowiek niezbędny w takiej eskapadzie.

– Co się wydarzy w Gdańsku, zostaje w Gdańsku – rozochocony wypitym piwem rzuciłem hasło, kiedy wszyscy już usadowili się na swoich miejscach. Nie wiedziałem, że wszyscy oni traktowali to nadzwyczaj poważnie, nie biorąc ze sobą nawet telefonów.

Do Olsztyna dotarliśmy bez problemów. To by było na tyle, jeśli chodzi o dobre wiadomości. Bus doznał awarii tuż przed miejscem docelowym, czyli torem kartingowym. Ponieważ oczekiwanie na zastępczy samochód lub ewentualną naprawę zajęłoby zbyt wiele czasu, postanowiliśmy to olać i dalej udać się piechotą.

Podzielono nas na dwie grupy, z których każda robiła dziesięć okrążeń. Następnie ci z najlepszym czasem ścigali się w grupie finałowej, a reszta walczyła o niższe lokaty. Szczęśliwie załapałem się do lepszej grupy, co mnie zaskoczyło, wszak robiłem to pierwszy raz. Ostatni był Piotrek, wyprzedził go nawet Prosiak, co wzbudziło powszechną wesołość.

Najlepszy był Jacek, sąsiad Glutka. Sympatyczny i wesoły chłopak miał największe doświadczenie w tej zabawie. W finałowym wyścigu nie dopisało mu jednak szczęście. Na jednym z zakrętów któryś z chłopaków uderzył w niego z takim impetem, że chłopak stracił przytomność. Niestety dla niego impreza się skończyła. Karetka zawiozła go do szpitala i tyle go widzieliśmy.

Choć atmosfera była grobowa, podjęliśmy trudną decyzję o kontynuacji naszego wyjazdu. Stwierdziliśmy, że dziś będziemy pić za jego zdrowie. On by tego chciał.

Nikt nie chciał przyznać się, kto uderzył w Jacka. Podczas wyścigu wszyscy mieliśmy na głowie kaski, a pod nimi czarne kominiarki, więc nikt nie był w stanie wskazać sprawcy. Nie dociekaliśmy szczególnie, nie było potrzeby drażnić tego tematu. Stało się. Została mi pamiątka w postaci kominiarki, którą można było ze sobą zabrać.

Nikt z nas nie miał pojęcia, że tego dnia w wieczornych wiadomościach podano informację o tragedii na torze kartingowym w Olsztynie, gdzie dwudziestodwuletni mężczyzna zmarł po przewiezieniu do szpitala.

Postanowiliśmy, że do Gdańska udamy się pociągiem. Szczęśliwym trafem mieliśmy do dyspozycji dwa puste przedziały, więc mogliśmy bez skrępowania rozpocząć libację. Alkohol zaczął lać się litrami. Większość zaopatrzyła się w wódkę, od żołądkowej przez żubrówkę, skończywszy na wyborowej, której nota bene jestem wielbicielem. Piotrek, jako człowiek małowitrawy, postanowił raczyć się piwem. Jako lokalny patriota popijał sobie więc ciechana. Prosiak tymczasem zaczął biadolić, że chce mu się jarać, ale nie ma towaru. Zgodnie z oczekiwaniami na pomoc przybył niezawodny Dzik. Do zabawy dołączył się Czarnuch z Glutkiem oraz Zalesny i Barney, czyli dwóch „szwagrów”. Mieli oni bowiem dziewczyny, które były siostrami. Wkrótce obydwie przedziały wypełniły się zapachem suszonych konopii. Trzeba było pospiesznie pootwierać okna, gdyby przypadkiem miał tu zawitać ktoś niepożądany.

W niedługim czasie alkohol z w miarę porządnymi ludźmi zrobił wiejskie bydlę. Żywiołowe dyskusje, zaczepianie przypadkowych ludzi, niecenzuralne okrzyki Prosiaka o znienawidzonej Arce Gdynia czy rzygi w przejściu sprawiały, że lepiej było tę część pociągu omijać z daleka. Ponieważ wszyscy nie mogli zmieścić się w jednym przedziale, a każdy chciał wypić z każdym, powstał chaos i ogólna samowolka. W połączeniu z alkoholem dawało to obraz nędzy i rozpacz. Zabawa była przednia.

Jakimś cudem udało nam się wysiąść na właściwej stacji, a potem taksówkami przetransportować się na kemping „Stogi”. Dochodziła już godzina dwudziesta, kiedy odbieraliśmy klucze do trzech domków, z których każdy mieścił dwie lub trzy osoby. Teren kempingu był po prostu ogrodzonym urokliwym lasem z porozrzucanymi co dwadzieścia metrów brązowymi drewnianymi domkami i barem obok wjazdu, zlokalizowany przy ulicy Wydmy. Do plaży stąd było około piętnastu minut drogi. Same domki wyposażone były jedynie w łóżka i stoliki z krzeselkami, ale nam to w zupełności wystarczało.

– Gdzie jest Zalesny? – zaniepokojony Barney nieoczekiwanie zaczął wypytywać po kolei każdego z nas, powodując konsternację wśród reszty.

Rzeczywiście w tym zamieszaniu nikt z nas nie zauważył, że gdzieś go wciągnęło. Wszyscy rozbiegliśmy się po lasu w poszukiwaniu zaginionego kolegi. Gdy poszukiwania nie przyniosły rezultatu, wszyscy zebraliśmy się w jednym miejscu. Po krótkiej burzy mózgów doszliśmy do wniosku, że ostatnio widziany był w pociągu. Od słowa do słowa, zdecydowaliśmy, że nie ma się czym martwić. To dorosły chłop, zaradny, na pewno sobie

poradzi. Prawdopodobnie przeoczył stację. Pewnie śpi narąbany w kiblu. Gdy się obudzi, złapie pociąg w przeciwnym kierunku i dołączy do nas.

Alkohol deformuje ocenę sytuacji. Nikt nie myślał, że następnego dnia gruchnie wiadomość o zwłokach znalezionych przy torach kolejowych pod Gdańskiem, a policja uzna, że denat po prostu wypadł przez okno.

Impreza trwała w najlepsze. Wszyscy zebraliśmy się w jednym domku i testowaliśmy swoje wątroby dalej. Nawet Piotrek przerzucił się na wódkę. Zresztą wtedy piliśmy już wszystko co było w pobliżu. Wódkę na przemian z piwem, a na zagrychę whisky. Do tego marycha i jakieś piguły. Świat zawirował.

O północy ktoś rzucił propozycję, żeby jechać do Sopotu. Wszyscy byli za, oprócz Piotrka i kolegi o przydomku Świetlówka. Był to najbardziej grzeczny i ułożony chłopak w tym towarzystwie i uznał po prostu, że wystarczy mu wrażeń. Niektórzy zresztą byli już w tak zaawansowanym stanie upojenia, że nie zauważyli jego nieobecności.

Po długich namowach udało mi się przekonać Piotrka. Jego zawsze do wszystkiego trzeba było przekonywać. W końcu uległ presji i wkrótce siedzieliśmy w taksówce, która wiozła nas na słynną w całym kraju ulicę Monte Cassino. Taksiarz skroił nas niesamowicie i wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że niepotrzebnie pojechaliśmy tylko we dwóch. Później dowiedzieliśmy się, że inni wcale nie zorganizowali się lepiej od nas. W całym tym ferworze Barney i Dzik zostali na kempingu.

Na miejscu okazało się, że Prosiak nie jest w stanie zrobić już ani kroku. Przewracał się o własne nogi, potracając spacerujących ludzi i taranował wszystkie przeszkody jakie napotkał na swej drodze. Nie było mowy o dalszym zwiedzaniu Monciaka, a przynajmniej nie z nim. W tej sytuacji nie było innego wyjścia, trzeba było go odwieźć do Gdańska.

Padło na mnie. Nie byłem z tego powodu zadowolony. W końcu nie przyjechałem tu po to, żeby niańczyć pijanego Prosiaka.

– Wsadź go tylko do taksy i powiedz taksiarzowi, żeby go zawiózł na Wydmy – przekonywał mnie Glutek.

Westchnąłem ciężko, ale zgodziłem się.

– A wy? Gdzie was znajdzie?

– Będziemy na molo.

Złapałem więc Prosiaka pod pachę i zaprowadziłem gdzie trzeba. Upewniłem się jeszcze tylko, że wszystko gra i wróciłem do chłopaków.

Po dłuższych poszukiwaniach znalazłem Piotrka i Czarnucha dreptających wzdłuż molo.

– A Glutek? – zapytałem rozglądając się dookoła.

– Gdzieś wsiąkł – Czarnuch rozłożył ręce.

Nie była to dla nas żadna nowość tego dnia, więc postanowiliśmy kontynuować balangę we trzech.

Ruszyliśmy na podbój sopockich nocnych klubów, choć zmęczenie mocno już dawało nam się we znaki. Piotrkowi wpadła w oko jedna z panienek tańczących przy rurze, więc na spółkę z Czarnuchem zdecydowaliśmy, że zasponsorujemy mu bliższe spotkanie z nią. Gdy zniknął w pokoju z tancerką, my zamówiliśmy jeszcze pół litra absoluta.

Nie wiem, kiedy urwał mi się film. Pamiętam strzępki informacji. Wydawało mi się, że do Gdańska wracałem tylko z Czarnuchem, ale na miejscu byłem już sam. Nie mam pojęcia jak trafiłem do właściwego domku.

Rano obudziło mnie pukanie do drzwi. Z trudem zwlokłem się z pryczy. Zaschnięte usta błagały o odrobinę piwa. Musiałem wyglądać jak siedem nieszczęść, bo stojący przed domkiem Piotrek wystraszył się moim widokiem.

– Dawaj na plażę! – rzucił uśmiechnięty, a w ręku trzymał coś, co ratowało mi życie, czyli butelkę zimnego, orzeźwiającego piwka.

Dorwałem się do niego jak wygłodniały pies i w kilka sekund wyłopałem połowę trunku. Nabrałem nowych sił.

Na kempingu była cisza jak makiem zasiał.

– Gdzie są wszyscy? – dziwił się Piotrek.

– Pewnie śpią. To była ciężka noc... Być może niektórzy jeszcze nie wrócili...

Droga wiodła wzdłuż lasu. Po przebyciu kilkuset metrów dotarliśmy do skupiska nadmorskich barów, gdzie serwowano nie tylko specjały oparte na owocach morza, ale też zwykłe fast foody i oczywiście piwo. Kawalek dalej zaczynała się alejka prowadząca wprost na plażę, przy której zlokalizowane były stoiska z pamiątkami, wata cukrową, budki z goframi, a także kurtyny wodne dla ochłody. Pogoda dopisywała, a wokół pełno było turystów paradujących w slipach i klapkach. Dla równowagi można było również podziwiać wdzięki lasek w bikini, a w powietrzu unosił się zapach słonej wody.

Z oddali widać już było Zatokę Gdańską. Zawsze fascynował mnie widok morza i to niesamowite zjawisko optyczne, kiedy wody zdają się tworzyć wzniesienie w miarę oddalania się od brzegu. Piasek pod stopami był gorący, a plaża była przepelniona parawanami, kocami i parasolami. Trzeba było się między nimi przedzierać uważając, żeby na kogoś nie nadepnąć. Gdy udało nam się dotrzeć do celu, stwierdziliśmy, że jest tu jednak trochę zbyt tłoczno. Zaczęliśmy więc iść wzdłuż wód zatoki.

Dotarliśmy do skarpy. Weszliśmy na nią i spojrzeliśmy w dół na przepastną toń morza.

– Pięknie tu... – powiedziałem rozmarzonym głosem, nie mogąc wyjść z podziwu nad możliwościami twórczymi natury – I pomyśleć, że żona nie chciała mnie puścić...

– Dlatego nie mam żony. One nie rozumieją, że facet musi od czasu do czasu odreagować... - mądrze zauważył Piotrek.

– Mój terapeuta też tak twierdzi. Uważa, że jestem przytłoczony codziennymi obowiązkami i muszę co jakiś czas zrobić sobie przerwę, żeby nie zwariować.

– Terapeuta? – Piotrek spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Mam pewne problemy... Ale wiesz co? Już mi lepiej. Potrzebowałem mocniejszych wrażeń. Chłopaki poświęcili się dla mnie i jestem im za to wdzięczny. Szkoda, że już im nie podziękuję... Ale w zamian dostali to, czego tak naprawdę chcieli. Wolność.

Zmierzył mnie niepewnym wzrokiem.

– Glutka wyłowią z morza obok moło w Sopocie, a Prosiaka znajdą niedaleko postoju taksówek. Czarnucha uznają za zaginionego, a Barney, Dzik i Świetlówka zostaną na zawsze w domku numer trzydzieści sześć. Ich zwłoki odkryją dopiero kolejni turyści, którzy dostaną do niego klucze. Tak... To była najlepsza impreza w moim życiu... – uśmiechnąłem się szeroko, zakładając ręce za głowę.

Piotrek cofnął się o krok. Widziałem w jego oczach rozpaczliwe błaganie o to, bym powiedział, że to żart. Nic takiego się nie wydarzyło. Przez ten czas krępującego milczenia, prawdopodobnie układał już sobie w głowie myśli, jak pogodzić się z tym, że to koniec. Obaj doskonale wiedzieliśmy, że jestem od niego znacznie silniejszy, a on nie potrafi pływać. Dałem mu kilka minut, podczas których patrzył bez słowa na wzburzone niebieskie fale.

Wspomnienia to najlepsze co nas w życiu spotyka. Czekają mnie kolejne terapie, będę musiał opowiadać o traumie, tłumaczyć dlaczego tylko ja ocalałem i poradzić sobie z faktem, że straciłem przyjaciół. Nikt nie zrozumie, że oni już po wieczność będą bawić się w zaświatach. A ja... Cóż, będę miał co opowiadać wnukom.

Lopez.